

Wojna światowa już trwa

2 maja 2017

Od objęcia prezydentury USA przez Donalda Trumpa nastroje nie napawały optymizmem. Niektórzy zachodni, w tym polscy, komentatorzy najzupełniej poważnie drżeli w obawie przed wielkim konfliktem zbrojnym. Widmo wojny z Chinami i konsekwencji nowej Jałty na linii Waszyngton-Moskwa zasnuwało horyzont. Z tym większym zaskoczeniem wypada odnotować falę ulgi i satysfakcji na wieść o ataku amerykańskiego lotnictwa na bazę wojsk syryjskich. W istocie jednak w reakcji tej nie ma nic zaskakującego. Po raz kolejny okazało się, że to nie „wojna w ogóle” spędza sen z powiek zawiadowcom zachodniej opinii publicznej. Boją się oni tylko tych wojen, które mogłyby na serio zagrozić ich biurom redakcyjnym i zawartości kont bankowych. Pozostałe da się przecież nieźle skomercjalizować.

Wszystko to nie zmienia faktu, że świeży przypływ wojennych lęków w Europie i Ameryce Północnej ma poważne podstawy. Dziwi jedynie to, że dotarł on do nas dopiero teraz. Dotychczas wyglądało to tak, jakbyśmy żyli w oderwanej od rzeczywistości bańce – nieświadomi własnego udziału we wzroście zagrożenia dla bezpieczeństwa światowego. Dopiero obecność tysięcy uchodźców na granicach Unii Europejskiej przywołała nas do realiów, które od lat fundujemy reszcie świata.

Prezydent Trump to zatem tylko czubek góry lodowej. Najważniejsze zaś jest to, że wojna, którą miałby rozpętać swoimi nieodpowiedzialnymi działaniami nowy lokator Białego Domu trwa już od lat. Zaświadcza o niej nie tylko uchodźcy, których dotąd nie chcieliśmy widzieć, ale i sporadyczne zamachy dżihadystowskie w Europie, które uporczywie wiążemy z wyssaną z palca przez ekspertów od terroryzmu „radikalizacją” lub „islamem”. Tymczasem i uchodźcy i zamachy są odpryskiem kryzysu i wojen imperialnych, które Stany Zjednoczone i ich sojusznicy rozpętali od początku XXI w.

Militaryzacja ładu międzynarodowego postępuje zresztą już od lat 90. minionego stulecia. Nazajutrz po rozpadzie Bloku Wschodniego Ameryka uległa geopolitycznej hybris, która kazała jej elitom dyskredytować prawo międzynarodowe i instytucje powołane od jego egzekwowania (jak ONZ). Proces ten postępował od inwazji na Panamę (1989) i pierwszej wojny w Zatoce (1990), przez interwencje w Somalii (1993), Haiti (1994), po bombardowania Iraku (1998) i Serbii (1999). Wszystkich tych wojen nie sposób zrozumieć nie odsłaniając ich ekonomii politycznej. Zgodnie z trafnym określeniem Thomasa Friedmana ekspansja hamburgerów McDonalda nie byłaby możliwa, gdyby nie wsparcie żelaznej pięści Mac Donella Douglasa (producenta F-16). W słowach tych zamyka się najlepsza definicja neoliberalnej globalizacji.

Zamachy z 11.09.2001 r. oraz reakcja na nie stanowiły kulminację tendencji z lat 1990., a zarazem punkt zwrotny. O ile administracja prezydenta Clintona, w trosce o spokój sumienia oświeczonej części klasy średniej, stanowiącej jej zaplecze wyborcze, ubierała swe wojny w szatki „interwencji humanitarnych”, to jej neokonserwatywni następcy porzucili wszelkie pozory. Zapożyczony od izraelskiego sojusznika i rozwinięty przez Busha juniora koncept „nieograniczonej wojny z terroryzmem” otworzył Amerykanom i ich koalicjantom drogę uwolnienia się z ram narzucanych przez Konwencje Genewskie. Wojna z bardzo mgliście zdefiniowanym zjawiskiem, jakim jest terroryzm, pozwoliła atakować każdego uznanego za nieprzyjaciela w Waszyngtonie, Paryżu czy Tel Awiwie. Niepokorne rządy, organizacje polityczne, społeczności domagające się swych praw – wszyscy znaleźli się na celowniku. Co gorsza, przeciwników wyzuto z praw kombatanckich, a granica między uzbrojonym wrogiem a cywilem uległa zatarciu. Od tego momentu USA, wbrew prawu międzynarodowemu, zaczęły też rewindykować przywilej jednostronnego wszczynania wojen. Za Waszyngtonem poszły rządy sojuszników, protegowanych, a wreszcie i konkurentów USA. Agresje na Afganistan i Irak, bombardowania w Pakistanie, Jemenie, Somalii i Sudanie,

zapewniły dobry klimat izraelskiej inwazji na Liban i oblężeniu Strefy Gazy, francuskim interwencjom w Czadzie, Mali, Republice Środkowoafrykańskiej i Libii, saudyjskiej wojnie w Jemenie, rosyjskim interwencjom na Ukrainie i w Syrii – wszystkie je wszczęto w ramach tej nowej światowej wojny. Jej bilans od roku 2001, i tylko w wyniku działań sił amerykańskich, obejmuje co najmniej milion ofiar śmiertelnych, miliony rannych, okaleczonych i rzesze wepchniętych w głód i skrajne ubóstwo, a wreszcie kilkanaście milionów uchodźców. Rachunek ten nie obejmuje ofiar innych konfliktów, choćby miliona zabitych w wyniku wojny w kongijskim rejonie Kiwu, która zasługuje na miano masakry wielkich korporacji. Wszystko to pokazuje, że mitologizowane często jako czasy beztroski i hipotecznej hossy lata 2007-2009 przed wielkim kryzysem finansowym – dosłownie spływały krwią.

Wojna światowa już trwa, a problem polega na tym jak ją zakończyć. Niestety biegun geopolityczny, który ma najlepszą pozycję i największą zdolność, by tego dokonać zachowuje się jakby nie wiedział o co chodzi. Skala odpowiedzialności krajów zachodnich, w tym Polski, za te katastrofy dorównuje arogancji ich elit, które notorycznie uchylają się od zapłacenia rachunku za globalną wojnę imperialną. To bardzo zła wiadomość, bo żaden mur ani system zasieków nie ochroni nas przed skutkami rzezi, które wywołaliśmy. Nie utopimy wszystkich uchodźców, nie odizolujemy się od katastrofalnych konsekwencji własnej ksenofobii. Pytanie polega tylko na tym, kto poniesie ich ciężar. Dotychczasowa polityka rządów USA, krajów Europy, a także mniejszych mocarstw – Rosji i Chin – usiłujących wykorzystać dobrą koniunkturę spowodowaną porażkami Zachodu, wskazuje, że znowu mają to być zwykli ludzie.

Autorstwo: Przemysław Wielgosz

Źródło: Monde-Diplomatique.pl